

„Bieżeństwo 1915” Anety Primaki-Oniszk: Epopeja o zapomnianych uchodźcach.

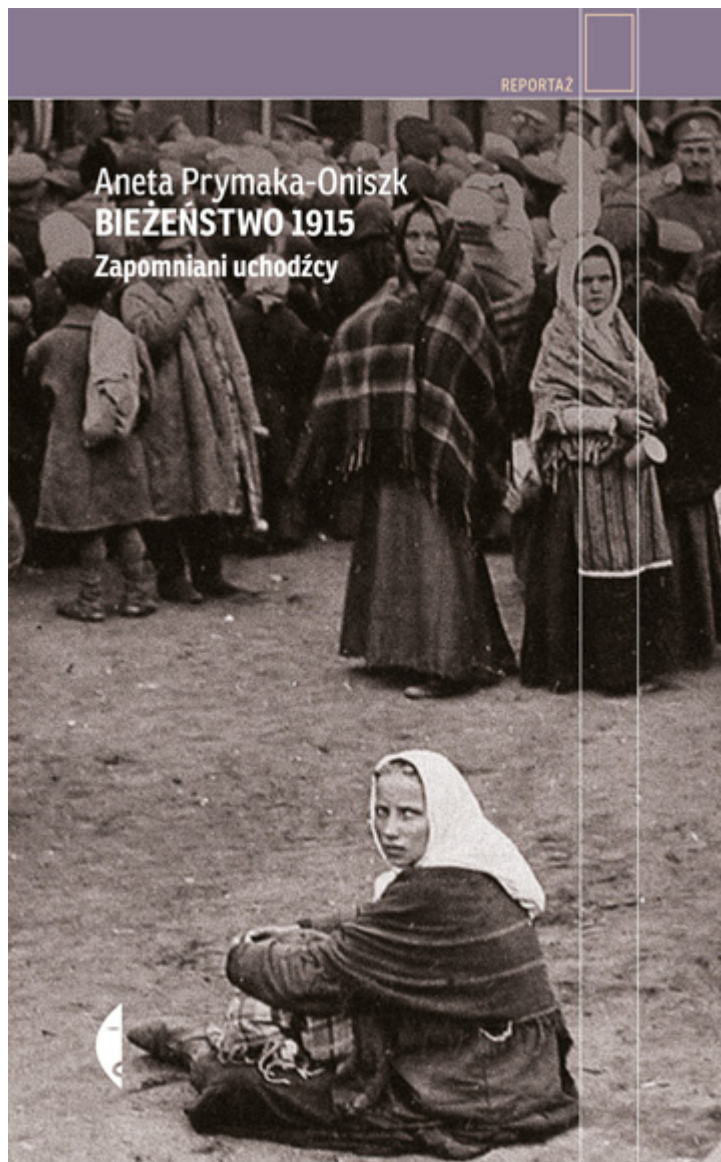
Barbara Lekarczyk-Cisek

Recenzja książki

Aneta Primaka-Oniszk przypomina światu historię nigdy w pełni nieopowiedzianą. Píše o świecie, którego już nie ma i o którym właściwie zapomniano. Jej opowieść o uciekających przed zagładą chłopach z Podlasia ma epicki charakter, a jednocześnie wtajemnicza czytelnika w

pojedyncze ludzkie losy, nad którymi autorka pochyla się z wielką wrażliwością, próbując zrozumieć, co ludzie ci czuli i przeżywali.

„Bieżeństwo 1915” to jedna z tych książek, o których można powiedzieć, że musiała zostać napisana. Epopeja o zapomnianych uchodźcach to jedna z najbardziej poruszających lektur, jakie dane było mi ostatnio przeczytać.



Aneta Primaka-Oniszk przypomina światu historię nigdy w pełni nieopowiedzianą. Pisze o świecie, którego już nie ma i o którym częściowo zapomniano. Jej opowieść o uciekających przed zagładą chłopach z Podlasia ma szeroki, epicki charakter, a jednocześnie wtajemnicza czytelnika w pojedyncze ludzkie losy,

nad którymi autorka pochyla się z wielką wrażliwością, próbując zrozumieć, co ludzie ci czuli i przeżywali.

Bieżeństwo. Tak babcia i wszyscy wokół nazywają ten czas – pisze. Musi być ważny, skoro ich historia świata dzieli się na przed bieżeństwem i po bieżeństwie.

Opowieść ta ma więc także osobisty aspekt: dotyczy babci Nadzi, czyli Nadziei, która przeżyła bieżeństwo, a na jej fotografii – jednej z nielicznych, które się zachowały – pozostał tego ślad, bo usta babci wprawdzie się uśmiechają, ale w oczach pozostał smutek... Kiedy wyjeżdżała z Knyszewicz, miała osiemnaście lat, była urodziwa i nosiła długie warkocze. Podobno była do Anety bardzo podobna. Ona jednak pamięta ją jako starą już kobietę, czytającą dzieciom w Wielki Czwartek ewangelię w języku staro-cerkiewno-słowiańskim i niechętnie mówiącą o przeszłości.

Historia utraty

Bieżeństwo to historia utraty: bliskich, domu, ziemi, a wreszcie korzeni i tożsamości.

Staliśmy się nie ludźmi, ale liśćmi – opowiada jedna z bieżenek. Wiatr nas goni, gdzie chce.

Taki los stał się udziałem milionów ludzi. Kto jest w stanie to pojąć, co czuje człowiek, który nie tylko utracił wszystko, ale przestał mieć jakikolwiek wpływ na swój własny los? Wydaje się, że to niemożliwe, a jednak ta książka pozwala to poczuć.

Zaczęło się od tego, że w 1915 roku, podczas I wojny światowej, cofające się wojska rosyjskie zaczęły siłą wysiedlać wsie, a także niszczyć plony, aby nic nie pozostało dla wrogów. Ponadto propaganda siała strach przed nadciągającym wrogiem.

Germaniec wrzuca ludzi do ognia! Niemcy babom cycki będą obcinać, dzieci nabijać na szable albo wrzucać do studni!

- niosła się złowroga wieść. I ludzie ruszyli na Wschód całymi taborami i wsiami.

Aneta Prymaka nie poprzestaje na przytaczaniu relacji i faktów, nie jest jedynie chłodnym, obiektywnym kronikarzem tych wydarzeń. Przeciwnie, nieustająco towarzyszy jej opowieści refleksja i empatia. To bardzo ważny element narracji.

Analizuję, co czuli przed wyjazdem - snuje rozważania. Próbuję złapać ten moment podjęcia decyzji: jechać czy zostać. Gdy wczytuję się we wspomnienia, odkrywam jednak,

że często decyduje przypadek. Czasem ludzki błąd, czasem fart lub pech.



Lubelski Bełc – Rawa Ruska, fot. z książki „Bieżeństwo 1915”.

Dantejskie piekło

Podróż trwa długo. Po drodze umierają ludzie i padają zwierzęta. Brakuje wody i kończą się zapasy żywności. Szerzy się odra, tyfus, cholera. Giną od nalotów bombowych. Ciała pozostają bez pochówku... Mnożą się ludzkie dramaty. Dzieci tracą rodziców, a rodzice dzieci. Zdarzają się takie przypadki, jak ten, kiedy ojciec po śmierci żony oddaje najmłodsze dziecko do sierocińca, bo obawia się, że nie wykarmi całej piątki. Kiedy najmłodszy z rodzeństwa odjeżdża pociągiem, wszyscy płaczą. Taki obrazek pozostaje na zawsze w pamięci jego starszej siostry... Odnotowano, że zdarzały się i takie przypadki, że umierające matki, nie mogąc znaleźć nikogo, kto zaopiekowałby się ich dziećmi, topiły je, nie chcąc skazywać na powolne konanie. Były jednak i takie, które za nic w świecie nie dały sobie odebrać dzieci. Z jednym z takich dzieci, cudem ocalałych dzięki matczynej determinacji, ciotką Nurą, Aneta Prymaka rozmawia w 2013 roku. *Ma dziewięćdziesiąt dwa lata, mówiła o tym już nie raz. Zawsze wtedy płacze.*

Czy można zacząć nowe życie z pękniętym sercem?

Ci, którym udało się przeżyć, odbywają podróż w nieznane. Na jednym z zamieszczonych w książce zdjęć widać cztery kobiety z dziećmi na drewnianym pomoście. To Astrachań nad Wołgą, a one czekają na dalszą podróż...

Gdy widzę to zdjęcie po raz pierwszy – pisze autorka reportażu – mam wrażenie, jakbym zobaczyła swoją babcię Nadzię albo prababcię Annę Prymakę z trzyletnią Lubą na rękach. Te wszystkie kobiety, które z babcią Nadzią wspominały Rasieję, gdy jako kilkuletnia dziewczynka bawiłam się obok. Zaraz zostawią bezpieczny ląd i wsiądą na statki, które powiozą je nie wiadomo gdzie.

Przyjeżdżają wynędzniali, często chorzy, po różnych traumatycznych przeżyciach. Trzeba zacząć nowe życie. Ale czy to możliwe?

Zastanawiam się, kim staje się człowiek, którego świat całkowicie runął – zastanawia się reporterka. Z czego buduje nową rzeczywistość? Skąd czerpie siłę? Kim staje się cała społeczność, która utraciła wszystko?

Niektórzy docierają aż do Taszkientu, a tam, po wyjściu z pociągu, widzą na peronie kolorowo ubrane postaci o poczerniałych twarzach, ostrych rysach i skośnych oczach – tak muszą wyglądać tylko diabły. Tymczasem okazuje się, że to delegacja Kirgizów i Sartów, witająca bieżęńców białym chlebem. Później dowiadują się, że mieszkają tam również przesiedleni wiele lat wcześniej Ukraińcy. Jednak wszystko jest obce i ludzie wysiedleni z Odrynek nie nauczą się żyć w Czardżu. Kiedy na wiosnę wszystko budzi się do życia, oni – niedożywieni i osłabieni podróżą – zaczynają chorować i masowo umierać. Wielu zapada na choroby psychiczne. Znany psychiatra, Władimir Michajłowicz Biechtieriew, proponuje nawet otwarcie w Piotrogradzie kliniki psychiatrycznej dla bieżęńców. Stara się o sfinansowanie budowy szpitala przez Komitet Wielkiej Księżnej Tatiany. W gazetach ukazują się artykuły, w których autorzy z wielkim współczuciem piszą o przeżyciach bieżęńców, zwłaszcza dzieci:

Być może ich małe, niemające jeszcze siły serduszka rozpadły się już na kawałki i takie pozostaną na całe życie, tak jak pęknięte są serca ich posępnych i wymęczonych matek i ojców.



Zdjęcie grupowe zrobione w przytułku we wsi Podostrownoje w

guberni tambowskiej, fot. z książki „Bieżeństwo 1915”.

Apokalipsa 1917 roku

Kiedy w 1917 roku wybucha rewolucja, zaczyna się prawdziwa apokalipsa. Świat wali się po raz drugi, padają też ostatnie filary starego porządku: autorytet władzy i Bóg. Zaczyna się groza i straszliwy głód. Bolszewicy sypią zboże do rzeki, palą lub rzucają ptakom. Dzieją się rzeczy niewyobrażalne nawet dla bieżeńców, którzy tyle przeszli. W latach 1921-1923 umiera ponad pięć milionów ludzi, dochodzi do aktów kanibalizmu. Bieżeńcy postanawiają wracać, ale na powrót do domu wielu z nich będzie musiało czekać kilka lat.

Przyjechałem zupełnie ogołocoony z pieniędzy wydanych na łapówki bolszewikom i Niemcom – napisze w swoich wspomnieniach Stanisław Wojciechowski, przyszły prezydent Rzeczypospolitej. Bieżeńcy znowu doświadczają głodu, poniewierki i chorób. W dodatku wracają do innej Polski, której nie było przed ich przyjazdem i muszą się w niej na nowo odnaleźć.

„Gazeta Warszawska” 19 stycznia 1922 roku napisze:

Repatrianci przybywają do Polski w stanie wycieńczenia i

zarazy nie tylko z tego powodu, że w Rosji panuje głód, przed którym uciekają do Polski, ale również dlatego, że podróże z Rosji trwają całymi tygodniami, a niekiedy i miesiącami, podczas których rząd sowietów nie daje prawie żadnej pomocy żywnościowej i podróże te odbywają się w wagonach tak zawszonych, iż nawet zdrowi repatrianci ulegają zarażeniu i często umierają w pociągach przed przybyciem do Polski.

Powrót na „goły kamień”

Ci, którym udało się jednak powrócić, zastają najczęściej ruinę – spalone domy i zagrabione gospodarstwa. Na szczęście Niemcy, którzy zakładali na tych terenach kolonie rolne, wyjechali i pozostawili po sobie zboża.

Ach, wiele przeżyliśmy. Wróciliśmy na goły kamień – powtarza babcia autorki. Ale to nie wszystko. Ludzie zobaczyli, że tamtego, starego świata, który zapamiętali, już nie ma i nigdy nie będzie. Panuje straszliwa bieda: jedzą zupę z pokrzyw, a dzieci pracują ponad siły, krzywdzone i poniżane. Co jednak ma robić wdowa, która wróciła z gromadką małych dzieci? Co mają robić sierotki, które są zbyt małe, aby utrzymać pług? Pracują ponad siły i straszliwie biedują. Powoli jednak zaczyna się odbudowa nowego życia. To niełatwe, bo większość z nich

mówi *po swojemu* i nie ma szansy poznać polskiego przed pójściem do szkoły. Znikają także prawosławne cerkwie, zastąpione przez kościoły. A przecież religia jest dla tej ludności ważnym składnikiem ich tożsamości. Nic zatem dziwnego, że prorok Ilia (Eliasz Klimowicz) ogłasza koniec świata i przygotowuje naród do ponownego przyjścia Chrystusa.



Bieżeńki nad Wołgą, fot. z książki „Bieżeństwo 1915”.

Bieżeństwo jako źródło tożsamości nowego pokolenia

Historyk, prof. Eugeniusz Mironowicz, pomysłodawca tomu „Bieżeństwo 1915 hoda”, uważa, że po tych wszystkich wydarzeniach wyrosło pokolenie prawnuków, którzy piszą własną wersję historii i interpretują ją na swój sposób. W ten sposób tworzy się rodzaj nowej mitologii, która stanie się źródłem tożsamości najmłodszego pokolenia.

Aneta Prymaka nie tylko opisała historię bieżeństwa i jej skutki, ale również założyła bloga Biezenstwo.pl, na którym zapisuje nowo odkryte ludzkie historie. Blog stał się poniekąd „miejscem spotkań” potomków bieżeńców.

Poza wszystkim książka „Bieżeństwo 1915” jest epickim, pełnym

opisem historii bieżenców 1915 roku, w którym autorka nie tylko pochyliła się nad losem wspólnot, pojedynczych ludzi, a także nad historią własnej rodziny. Stała się także „kronikarzem duszy ludzkiej” (używając sformułowania Swietłany Aleksijewicz), ukazując, jakie straty ponieśli ludzie w sferze duchowej i psychicznej. Czytając ten fascynujący reportaż, stajemy się świadkami i niejako „uczestnikami” jej dramatycznej opowieści, budzącej zarazem refleksję nad meandrami historii. Książka otrzymała już szereg znaczących nagród, m.in. nominację do Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego 2017, Nagrodę Literacką im. Wiesława Kazaneckiego oraz Nagrodę Literacką Miasta St. Warszawy.



Bieżeńcy, 1915 r, fot z książki „Bieżeństwo 1915”.



Bieżeńcy na jednym z postojów, fot. z książki „Bieżeństwo 1915”.

Książka Anety Prymaki-Onyszk: „Bieżeństwo 1915. Zapomniani uchodźcy” ukazała się w Wydawnictwie Czarne.

**Billie Holiday, William
Dufty: „Lady Day
śpiewa bluesa”**

każdego dnia.



Billie Holiday, Downbeat Club, Nowy Jork, luty 1947, fot. William P. Gottlieb, źródło: wikipedia.

Barbara Lekarczyk-Cisek

Pięćdziesiąt lat po amerykańskim wydaniu biografii słynnej wokalistki jazzowej, Billie Holiday, ukazał się w Wydawnictwie Czarne jej polski przekład. Opowieść Billie o sobie samej to jak słuchanie jej nagrań. Przekonajcie się sami.

Billie Holiday była moją ulubioną piosenkarką w latach młodości, kiedy to interesowałam się jazzem i bluesem. Nie tylko kolekcjonowałam jej nagrania, utrwalając je na magnetofonie szpulowym audycje Polskiego Radia, zwłaszcza „Blues wczoraj i dziś” Marii Jurkowskiej, ale stałam się nawet szczęśliwą posiadaczką mojej ulubionej płyty (oczywiście analogowej): „Lady in Satin”, nagranej w 1958 roku dla Columbia Records, z towarzyszeniem orkiestry symfonicznej i chóru. To szczególny album, na którym Billie wykonuje głównie utwory pełne smutku, a niedoskonałości jej zmęczonego głosu (było to na rok przed śmiercią wokalistki) zdają się dodawać im bluesowego feelingu. Przede wszystkim brzmią jakoś wyjątkowo prawdziwie i szczerze – jak spowiedź z całego życia. Żadna z jej płyt nie zrobiła na mnie tak wielkiego wrażenia, jak właśnie tamta...

<https://www.youtube.com/watch?v=UCsxqDq6B04&list=PLA60E79E252E052B0>

W latach 70. biografię Billie Holiday zaczął tłumaczyć znawca i propagator bluesa, Stefan Zondek, tłumacz autobiografii Louisa Armstronga: „Moje życie w Nowym Orleanie”, ale pracę przerwała jego przedwczesna śmierć. I oto po tylu latach – wreszcie jest, w znakomitym tłumaczeniu Marcina Wróbla, które pozwala posmakować charakterystycznego sposobu mówienia Billie, przyjrzeć się jej niejako z bliska – na tyle, na ile nas do siebie dopuszcza. Z pewnością nie jest to sensacyjna i skandalizująca biografia znanej wokalistki, jak choćby wydana przez W.A.B. w 2007 roku książka autorstwa Julii Blackburn. Opowieść Billie o sobie samej przypomina słuchanie jej nagrań.

Billie jako wokalistka – czytamy we wstępie autorstwa Davida Ritza – bywała przejmująca lub wzruszająca, rozgoryczona lub pełna słodyczy, agresywna albo wycofana, pełna wiary w siebie i zagubiona. Tę książkę charakteryzuje równie brutalna emocjonalna szczerłość. A to, że szczerłość nie zawsze ma pokrycie w faktach, nie odgrywa większej roli. Nie pisała tego tekstu dla historyków muzyki czy etnomuzykologów. Kierowała nią ta sama potrzeba wyrażenia uczuć, która zmuszała ją do śpiewania.

Wszystko o mojej matce... i nie tylko



Ilu ludzi, tyle prawd i narracji. Ta ma tę szczególną wartość, że pochodzi z samego źródła, że możemy „posłuchać” barwnego języka Billie Holiday, obejrzeć jej oczami Baltimore lat dwudziestych, poczuć atmosferę klubów jazzowych Nowego Jorku i Los Angeles. Poznamy także galerię znakomitych postaci, nie tylko ze świata jazzu, jak Ethel Waters, Lestera Younga (to on wymyślił przydomek Lady Day) czy Benny Goodmana, ale także słynnego reżysera Orsona Wellesa czy aktora Clarka Gable’a, których Billie poznała przy okazji pobytu w Los Angeles, gdy grała w filmie „New Orleans” (1947).

O swoich rodzicach, a szczególnie o matce, pisze szczególnie ciepło – zwłaszcza o jej prawości, skromności, pracowitości i wielkiej gościnności, nie unikając przy tym charakterystycznych kolokwializmów:

Matka nie tylko kochała ludzi, ale też pokładała w nich dużą wiarę. Jej zdaniem, w każdym było coś dobrego, bo takimi stworzyć nas Bóg. Wszędzie dostrzegała dobro, znajdowała je w najdziwniejszych typach. Nie tylko w dziwkach i alfonsach, ale też w złodziejach i mordercach. (...) Mogłeś być skończonym łajdakiem i złodziejem, ale wystarczyło powiedzieć, że jesteś muzykiem, a matula oddałaby ci ostatnią koszulę.

Mistrzynie interpretacji

Nie miała wykształcenia, ukończyła zaledwie pięć klas i to – jak pisze – w biednych szkołach dla czarnych w Bostonie, a jednak posiadała wrodzoną inteligencję i muzyczną wrażliwość oraz niezwykłą intuicję, które sprawiały, że nawet banalny tekst potrafiła zinterpretować tak, że nagle zyskiwał drugie dno. W jej ustach „My Man” czy „Lover Man” brzmią niepowtarzalnie.

Każdy musi być inny – czytamy w biografii. Kopiowanie do niczego nie prowadzi. Naśladownictwo oznacza, że robisz coś, czego nie czujesz, cała robota na nic. Nie ma dwóch takich samych ludzi na świecie, tak samo w muzyce, jak i poza muzyką.

Jej interpretacje piosenek nie mają sobie równych, ale dopiero czytając biografię zaczynamy zdawać sobie sprawę, że to, co było dla nas dotąd oczywiste, wcale nie przychodziło tak łatwo.

Ludzie naprawdę nie rozumieją, jak mocno trzeba się umordować, żeby nagrać to, co chcesz, dokładnie tak, jak chcesz. Zdarzało mi się walczyć nawet przez dziesięć lat, żeby nagrać utwór, który bardzo kochałam. (...) Nadal walczę o możliwość zaśpiewania niektórych rzeczy.

Billie opowiada szczerze o swoich kłopotach z uzależnieniem od narkotyków, podkreślając, jak zgubny to nałóg, o pobytach w więzieniu (były to czasy, kiedy karano za posiadanie choćby niewielkich ilości narkotyków), a także o upokorzeniach, biedzie, utraconych miłościach... Wszystko to odnajdziemy w jej interpretacjach piosenek: „Lady sings the Blues” czy w mojej ulubionej: „Don`t Explain”.

Często słyszałam – komentuje – że nikt poza mną nie śpiewa z takim uczuciem o głodzie i miłości. Być może dlatego, że nadal pamiętam, co znaczą te słowa.

Billie Holiday pichci obiad w hotelowym pokoju

W biografii Billie Holiday znajdziemy także niemało anegdot. Po wielkim sukcesie na deskach Metropolitan Opera w Londynie piosenkarka jest wprawdzie we wspaniałym humorze, ale narzeka na hotelowe jedzenie. Postanawia sama przyrządzić sobie posiłek. Otwiera puszkę czerwonej fasoli, którą zawsze wozi ze sobą, dodaje czosnek, trochę mielonego mięsa i gotuje to wszystko na maszynie spirytusowej.

Myślałam, że w hotelu zaczną się czepiać z powodu zapachu

- zwierza się w książce, ale zanim zdążyłam wszystko przygotować, do moich drzwi zaczęli się dobijać windziarze, pokojówki i kierownicy pięter. Wszystkim bardzo smakowało. (...) Do dziś wysyłam tę fasolę znajomym z Londynu.

Frywolne piękno i poetycka szczerość

Biografia Billie Holiday ma wszelkie cechy intymnego zwierzenia, czuje się w niej zaufanie do Williama Dufty`ego, z którym była zaprzyjaźniona i który dyskretnie jej zwierzeniom towarzyszy, nie zaznaczając jakoś swojej obecności. Jest idealnym słuchaczem – pośrednikiem pomiędzy wokalistką a potencjalnymi czytelnikami.

Kocham tę książkę – pisze we wstępie Ritz. Zakochałem się w niej u progu swojej jazzowej obsesji, gdy miałem zaledwie trzynaście lat. Teraz jestem pół wieku starszy, przeczytałem ją bodaj piąty raz i nadal ją kocham. Cieszy mnie nie tylko frywolne piękno tej prozy i jej poetycka szczerość, jestem wdzięczny, że dzięki tej książce mogę poznać Billie.

Sądzę, że mogłabym powtórzyć za nim te słowa. „Lady Day śpiewa bluesa” to lektura obowiązkowa nie tylko dla wielbicieli

Billie Holiday, ale także dla wszystkich, którzy interesują się jazzem, bo mogą zajrzeć pod podszewkę czasów jazzowych knajpek i segregacji rasowej.

Książka Billie Holiday i Williama Dufty: „Lady śpiewa bluesa” ukazała się w Wydawnictwie Czarne, w przekładzie Marcina Wróbla.